

ANDRZEJ PACZKOWSKI

<https://orcid.org/0000-0003-1733-8588>

Instytut Studiów Politycznych PAN

Czuję się zobligowany, aby zacząć od wskazania dwóch okoliczności, które w oczywisty sposób wpływają na moje uwagi o tym „skąd przychodzimy [i] dokąd zmierzamy”¹. Pierwsza z nich to fakt, iż w latach 1988–1991, do których jako do cezury początkowej odwołują się inicjatorzy ankiety, byłem osobnikiem raczej dojrzałym, w przededniu profesury (1991), zawodowo ukształtowanym praktykiem tradycyjnie przedstawianej historii Polski XX w. Od połowy lat siedemdziesiątych zaangażowany byłem w różne działania o charakterze opozycyjnym, na ogół związane z historią. Miałem kilka przygód z cenzurą i ze Służbą Bezpieczeństwa, a także — w sumie łagodne w skutkach — usunięcie z pracy w PAN. Wspominam o tym, gdyż wówczas, kiedy mówi się o naszej historiografii po 1989 r., niejako odruchowo odnoszę się do tego, co było wcześniej, aczkolwiek pamięć o tamtym czasie nie jest dla mnie w żadnym razie traumatyczna. Drugą okoliczność stanowi ograniczoność mojej wiedzy o polskiej historiografii, nawet tej jej części, która obejmuje okres moich aktualnych zainteresowań badawczych (dzieje PRL). Proliferacja publikacji zaszła bowiem tak daleko, iż nieraz trudno ogarnąć nawet te, które są niezbędne w bieżącej pracy². Oczywiście nie ważę się wypowiadać na

¹ Sformułowanie to zaczerpnięto zapewne od Paula Gauguina (jeden z jego najsłynniejszych obrazów nosi tytuł *Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd zmierzamy?*), ale — nie bez szczypty złośliwości — przypomnę, że dokument „O co walczymy, dokąd zmierzamy” (bez znaków zapytania) ogłoszony został na zakończenie VII Plenum KC PZPR w dniu 28 lutego 1982 r. i był pierwszym oficjalnym stanowiskiem programowym tego gremium po wprowadzeniu stanu wojennego.

² 70 lat temu Michał Sokolnicki narzekał („Kultura” 1950, 7–8) na „gęstwinę nieprzejrzaną studiów i opracowań” oraz utyskiwał na to, że z uwagi na rynkowy charakter wydawnictw „stałym wrogiem studiów nad losami człowieka jest popularność i pospolitość” (s. 19). Cóżby więc ów świetny dyplomata i wytrawny historyk napisał dziś, gdy rok rocznie w dziale „Historia. Biografie” statystyki wydawnictw rejestruje się w Polsce około 2,5 tys. tytułów, w tym połowę stanowią książki zaklasyfikowane jako „naukowe”? Szczegóły patrz M. Kruszyński *Uwagi o położeniu książki historycznej na polskim rynku wydawniczym po 1989*, w: *Klio na wolności. Historiografia dziejów najnowszych po 1989 roku*, red. idem [et al.], Lublin 2016, s. 229–239.

temat prac z zakresu mediewistyki lub starożytności, do których sięgam rzadko, choć z intelektualnym pożytkiem. No, ale do rzeczy...

Ad 1. Nie potrafię wskazać na jakieś konkretne, „najważniejsze” i „najbardziej inspirujące dzieła” dotyczące dziejów najnowszych, które powstały w ostatnich 30 latach, choć pewny jestem, że prace takie istnieją. Przede wszystkim nie mam jasności, czy chodzi o dzieło, które było „najbardziej inspirujące” dla mnie osobiście, czy też o takie, o którym sądzę, że było „pobudzaczem” w szerszym wymiarze, wobec całego środowiska czy jakiejś znaczniejszej w nim grupy osób. W pierwszym, osobistym, przypadku odpowiem po prostu: nie mam takiej jednej książki. Inspiracja ma bowiem, jak sądzę, przede wszystkim charakter ciągły, wypływa z różnych źródeł. Jedne prace wskazują na jakiś nieznany trop faktograficzny, inne — ważny nurt interpretacyjny, kolejne zachęcają do kontynuacji zawartego w nich konceptu lub — wręcz przeciwnie — do polemiki (sprzeciwu). Zatem im ktoś dłużej tkwi w zawodzie dziejopisa, tym większej liczbie impulsów podlega, zwłaszcza że wypada przecież brać pod uwagę nie tylko wytwory rodzimej historiografii, ale także innych („obcych”), z których też się winno korzystać, jakieś lekcje pobierać. Z braku stosownych refleksji o indywidualnych inspiracjach pozostawię zatem organizatorów ankiety w stanie nieukontentowania, a zamiast szukać „osiągnięć najważniejszych” spróbuję przedstawić parę ogólniejszych konstatacji na temat samej historiografii.

Nawiązując do początku mojej wypowiedzi, jako pierwszą sprawę wymieniałbym swobodę, która dosyć niespodziewanie zapanowała po roku 1989. Wyraża się ona nie tylko w braku „kontroli druku”, w możliwości prowadzenia publicznie nieograniczonych dyskusji czy w otwarciu archiwów, ale również w możliwości podróżowania (myślę tu głównie o celach naukowych, począwszy od Programu Erasmus). Internacjonalizacji kontaktów naukowych sprzyjała przez wiele lat „moda na Polskę” czy, szerzej, na świat postkomunistyczny, która skończyła się zapewne nieodwracalnie. Pewne jest jednak, że miało to poważny wpływ na polską historiografię. Przynajmniej dziejów najnowszych, gdyż mediewiści czy starożytnicy mieli od dawna niezłe zagraniczne chody. Trzeba też wspomnieć, że od kilkunastu lat towarzyszy nam (czy raczej: my jej towarzyszymy) internetowa rewolucja informacyjna, oznaczająca dostęp do czasopism i książek, konferencji czy wykładów online, możliwość wymiany poglądów czy informacji na odległość, ale w czasie rzeczywistym. A więc obok pojawienia się swobody mamy też „techniczne” otwarcie, co jest nader ważne, gdyż jakkolwiek nie zamierzam pomniejszać naszej innowacyjności, to jednak chyba wypada zgodzić się z opinią, że znacznie częściej jesteśmy naśladowcami („followersami”) niż twórcami

oryginalnych konceptów metodologicznych i odkrywcami nieznanymi „wielkich tematów”. Wprawdzie powtarzane są narzekania na to, iż brakuje nam „wrażliwości metodologicznej”, niemniej — to druga konstatacja — w polskiej historiografii dziejów najnowszych widoczne jest otwieranie się na dziedziny pokrewne (jak socjologia, psychologia społeczna czy antropologia) i coraz częstsza implementacja ich pomysłów badawczych. Mówiąc inaczej: postępuje uzupełnianie historii ludzi o historię człowieka. Stało się to niewątpliwie pod wpływem „cudzoziemszczyzny”, ale swój wpływ miała natarczywość, z jaką niektórzy Sarmaci (i Sarmatki), jak Ewa Domańska czy Marcin Kula, zachęcają historyków dziejów najnowszych do unowocześniania zarówno myślenia o przeszłości, jak i warsztatów badawczych. Choć sam tkwię w „złych nawyczkach”, jednak doceniam to, co robią inni.

Kolejna uwaga. Wskazana wyżej w jednym z przypisów ilość publikacji świadczy zarazem o zainteresowaniu przeszłością, jak i sugeruje istnienie znacznego grona badaczy, gdyż dużą część tej produkcji stanowią wytwory rodzime i te setki książek ktoś przecież musiał napisać. Trudno rzecz jasna mówić o masowości, ale zauważalna jest zmiana ilościowa w porównaniu z czasami „sprzed”, a przybywa nie tylko historyków z wykształcenia (których spore grono powędrowało do polityki), ale też zawodowych dziejopisów. Stosunkowo liczna obecność historyków i ich produkcji intelektualnej na rynku księgarskim wynika przede wszystkim z popytu, którego wielkość i stabilność (osiągnięta po kilku latach szybkiego wzrostu) zadziwia w zestawieniu z notorycznym nieczytelnictwem narodowym. Należy wspomnieć też o pop-historii — grach planszowych, komiksach, grupach rekonstrukcyjnych (od Lechitów po Żołnierzy Wyklętych), marszach i sztafetach „śladami”; o istniejących dodatkach do gazet, o kanale TVP Historia, o powodzeniu muzeów narracyjnych czy obecności *public historians* w mediach. Chyba nieźle ma się powieść historyczna (w tym Nobel Olgi Tokarczuk³). Niezależnie od ich poziomu czy wartości zapewne większość książek czy innych form przekazu przeszłości dotyczy historii z obszaru ostatnich stu lat, która, co oczywiste, bardziej interesuje szerszą publiczność i przyciąga uwagę choćby dlatego, że wciąż żyją uczestnicy wydarzeń, a niektórzy ich bohaterowie są nadal obecni na scenie publicznej.

Jeszcze jedna uwaga. Ten na poły sielski obrazek kwitnącej, urozmaiconej historiografii i masowego zainteresowania Polaków

³ Z punktu widzenia nieustających starań o „dalszy dynamiczny rozwój kraju” może być trochę niepokojące, że na szesćciorgo polskich noblistów aż pięćciorgo to pisarze lub poeci (za to spełniamy wyrafinowane wymogi *gender* — 3:3).

historią — aczkolwiek chyba niezbyt odległą od prawdy — nie sugeruje jednak, że tym, co zapewniło jej „wylewarowanie” nie jest, jak by się chciało, jakość naszego historycznego pisarstwa, ale raczej spór o nieodległą przeszłość, który stał się częścią gwałtownego konfliktu politycznego, społecznego i ideowego. Wielu historyków ochotnie się weń włączyło, a bez ich uczestnictwa nie mógłby on tak bardzo się upowszechnić i nabrać prawomocności nadawanej przez ich stopnie i tytuły naukowe. Spór ten miał, oczywiście, zaszczyt, a przede wszystkim „zimną wojnę domową o przeszłość”, która toczyła się między emigracją i opozycją demokratyczną a PZPR. Po 1989 r., nie tracąc akcentu antykomunistycznego, walka ta przeniosła się stopniowo do wewnątrz obozu postsolidarnościowego i w rezultacie w miejsce wojny polsko-jaruzelskiej mamy wojnę polsko-polską. U podstaw tej zmiany tkwił wieloletni konflikt polityczny, zaostrzony na przełomie stuleci pierwszymi skutkami takich wydarzeń jak rozpoczęcie ustawowej lustracji czy utworzenia Instytutu Pamięci Narodowej oraz rosnącymi w elitach ambicjami (i frustracjami). Jakąś, choć trudną do skodyfikowania rolę odegrały zmiany w przestrzeni międzynarodowej, a przede wszystkim koniec „końca historii” z dniem 11 września 2001 r. czy bojowe zapowiedzi nowego (od 2000 r.) prezydenta Rosji. Jednak odwołując się wprost do pierwszego pytania ankiety, wskazałbym na jeden, drobny z pozoru, fakt: ukazanie się w 2000 r. niewielkiej książki Jana Grossa *Sąsiedzi*, która sprowokowała gorączkowe działania w obronie podważanego w niej polskiego martyrologiczno-heroicznego dwójmitu z jednej strony, a z drugiej kolejne próby rozwikłania splotu tego, jak „biedny Polak patrzył na getto” i dążenia, aby nie zarastały „blizny podłości”. Można chyba powiedzieć, że — niezależnie od ocen merytorycznych — praca ta stała się *de facto* inspiratorem debat wykraczających daleko poza historiografię, choć nie można wykluczyć, iż także bez jej istnienia spór o to, czym jest (i czym powinna być) polskość nie rozpaliby tak wielu głów.

Nie miejsce tu na szkicowanie panoramy tej trwającej wciąż wojny, ale wspomnieć należy, że choć nie wiadomo, jakie wojna ta zajmie miejsce w dziejach polskiej historiografii, już dosyć głęboko wpisała się w środowisko historyków. Być może dlatego, że jest jednym z tych sporów, które historycy toczyli i toczą nie tylko pod wpływem osobistych emocji — politycznych, ideowych czy zawodowych — ale w warunkach etatystycznej polityki historycznej, głębokiego zaangażowania się instytucji państwa i ich najwyższych urzędników w eksploatację tradycji. Można zapewne mówić o istnieniu elementów *la tentation autoritaire* z jej wymogiem nieustannej walki prowadzonej przez zjednoczoną wspólnotę narodową przeciwko Obcym (Innym), którzy grożą jej tożsamości.

Jakkolwiek konfratry zajmujący się dawniejszymi czasami „od zawsze” mieli zastrzeżenia co do uprawiania historii najnowszej, łatwiej im chyba znaleźć dziś argumenty do wspierania swojego stanowiska. Uważajmy zatem, byśmy nie wylądowali wszyscy — od prawa do lewa — na ławce dla propagandzistów.

Pytanie drugie dotyczy tego, co w nadchodzących latach „powinno być przedmiotem szczególnej uwagi”. Są rzeczy, których nie da się przewidzieć, nie tylko wtedy, gdy przybierają — modną ostatnio — postać Czarnego Łabędzia. W istocie: czy jeszcze zimą 2020 r. ktoś myślał o wydaniu zbioru tekstów poświęconych „Illness and Health in Polish Literature, Culture and Language”⁴? Podejrzewam, że zaroj się od badań nad epidemiami (choć i do tej pory ich nie brakowało), boć przecież historyk często odpowiada na „potrzebę chwili”, co nie jest niczym nagannym, zwłaszcza że taka odpowiedź może mieć formę wybitnego dzieła. Przewidywanie zaś, jakie będą owe potrzeby, lepiej pozostawić futurologom. Mówiąc bardziej serio i trzymając się mojego „kawałka historii” (1945–1989): odczuwam zapotrzebowanie m.in. na studia z obszaru mentalności społecznej, socjo- i psychologii elit (wszelakich), badania nad tak ważną i dużą zbiorowością, jaką byli członkowie (też „szarzy”) partii władającej krajem, nad wojskiem jako instytucją i „społecznością zamkniętą”. Lista może być długa i tak już tych dysertacji chyba nie przeczytam.

Pytanie numer trzy jest lekko kokieteryjne, jako że Redaktor Naczelny „Kwartalnika” dzielnie posuwa się w pisaniu syntezy — o ile wiem — całych dziejów Polski. Uważam, że miejsce jest nie tylko na jedną, ale wiele syntez, czy to całości dziejów, czy też dłuższych ich fragmentów. Jest też miejsce na jakieś szaleństwo historiozoficzne, a może nawet jego potrzeba. Jestem więc „za”, ale pod dwoma warunkami: nie mogą być za długie i winny kończyć się cezurą wyraźnie zamykającą jakiś okres, a nie na ostatnich wyborach. Dlatego, jak mniemam, nie nadszedł jeszcze czas na syntezę III Rzeczypospolitej.

I wreszcie czwarte pytanie, które jest być może najbardziej intymne. Społecznej funkcji historiografii — ongiś, obecnie i w przyszłości — nie sposób zaprzeczać, a nawet ją pomniejszać, choć zapewne jej rola uzależniona jest od czasu. Choć istnieje powiedzenie, że historię piszą zwycięzcy, a pokonani piszą poematy, to w przypadku Polski z historiografią może być trochę tak, jak z religią i poezją: jest najbardziej potrzebna w latach opresji i klęsk. Pod warunkiem, że będzie to historia taka jak Szymona Askenazego. Obawiam się wszakże, iż „imperatyw służby” może

⁴ Numer temu poświęcony (2021, 12) planuje redakcja czasopisma „PL.IT Rassegna Italiana di Argomenti Polacchi”.

być rozumiany np. w konwencji państwowej polityki historycznej, a jeśli ktoś nie wypełnia należycie jej wskazań podlega mechanizmowi *cancel culture*. Bliższe jest mi zatem sformułowanie Marca Blocha o „obywatelskiej postawie naukowca” (miał na myśli przede wszystkim historyków), choć i ono implikuje nadrzędność jakiejś zbiorowości. Czy jednak nie jest tak, że *magis amica veritas*? A więc, że najlepiej służymy szukając prawdy, nawet mając podejrzenie, że jej nie znajdziemy?